

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 79

MIECZYŚLAW CZERNEDA
(M. BIERZYŃSKI)

NIEPŁAKANY

OPOWIADANIE



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

Nieplakany

Mieczysław Czerneda



Gebethner i Wolff, Warszawa, 1908

Pobrano z Wikizródół dnia 03/18/18

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW
LUDOWYCH 79

MIECZYŚŁAW CZERNEDA
(M. BIERZYŃSKI)

NIEPŁAKANY
OPOWIADANIE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

I • II • III • IV

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie
autora: Mieczysław Bierzyński.

I.

Biła piąta. Ostatnie uderzenia zegaru zagłuszył świst parowej maszyny, urywany, donośny, z którym wlatywały ponad dach fabryczny białe kłęby pary, jeden za drugim. Mknęły hyzo przez wiatr pędzone i nikły, stargane na szmaty. Z wysokiego komina buchał dym czarny. Maszyna jeszcze raz gwizdnęła, jeszcze jeden kłąb pary wzleciał do góry i, jak poprzednie, zniknął w przestrzeni.

Świst maszyny był hasłem ukończenia dziennych robót w fabryce. Wielkie koło rozpedowe zrobiło kilka jeszcze obrotów coraz wolniejszych, coraz słabszych i stanęło, a z niem w przyległym budynku zatrzymały się setki innych kół, kółek i kółeczek, którym ono nadawało życie. Szary dym ledwo snuł się u wierzchu wysokiego komina.

Dziesiątki warsztatów stanęło nieruchomo. Tu świder, który od rana wiercił otwór w wielkiej sztabie, zatrzymał się, nie dokończywszy nawet obrotu; tam piła, hałaśliwie tnąca drzewo na sztuki, zamilkła, jakby zmęczona pracą, która snąć i ją ogłuszała; gdzieindziej potężny młot utracił siłę w połowie zamachu i legł bezwładnie. Zębate koła, z takim zapałem turkoczące przed chwilą, te baby kłótniwe, nigdy nie zmęczone, teraz milczały; ucichł zgrzyt pił i kucie młotów; nie słyhać już dyszkantowych^[1] głosów pilników, ani szczęku żelastwa, ani stukania, kucia, ani tych tysiącznych odgłosów fabrycznych, zlewających się w jeden hałas, w którym najczęściej próżno silisz się rozróżnić ludzką mowę.

W salach warsztatowych panował ruch jeszcze, ale już inny. Robotnicy pośpiesznie składali narzędzia, uprząkali warsztaty, chowali drobniejsze sztuki do szafek; ten i ów musiał oddać

koledze wzięte narzędzie, niejeden miał jeszcze o coś zapytać, któryś weselszy pod nosem zanucił, inny jął gwizdać ulubioną piosnkę. Trwało to niedługo: gwar słabł coraz bardziej, w końcu zaległa cisza.

Życie przenosiło się w inną stronę zabudowań fabrycznych. Nieopodal wielkiego gmachu, mieszczącego warsztaty, wznosił się mały, piętrowy domek, starannie wybielony, rażące przeciwieństwo zakopconych murów fabryki. Długim sznurem, po dwóch, po trzech lub pojedynczo, dążyli w tę stronę robotnicy: była to ich zwykła sobotnia wędrówka po całotygodniowy zarobek.

Na dole, w kantorze, paliło się światło. Przez odsłonięte okna widać było za kratą wielkie żelazne kasy i dwóch urzędników — znali ich doskonale robotnicy. Obydwaj mieli twarze poważne, wygolone; obydwaj byli małomówni i nie znosili żadnych pytań i żadnych protestacji^[2].

Zapewne dla utrzymania porządku, do kantoru nie wpuszczano nigdy więcej nad dwóch robotników odrazu. Nikt nie wchodził tu nie wołany, każdy czekał wymienienia swego nazwiska w sieni lub na dworze i skracał sobie, jak mógł, chwile oczekiwania. Na dziedzińcu zazwyczaj było dość gwarno, czasami nawet pozwalano sobie na głośne wybuchy śmiechu; za to w sieni nie usłyszałeś żywszego głosu. Stojący tam robotnicy »bez uszanowanie« pozdejmowali czapki i mówili z cicha, bo »pan kasyer okrutnie nie lubił hałasu i zaraz się gniewał«, a każdemu zależało na dobrym jego humorze — w przystępie bowiem wielkiej łaskawości dawał się czasem o »forszus«^[3] uprosić, którego prawie każdy w obecnej porze potrzebował, bo to i rok był ciężki i roboty w fabryce niewiele,

a płacono od sztuki.

Co chwila ktoś wychodził z kantoru i wołał następnego.

— Cóż, jak tam stary? — pytano półgłosem.

— Jak zawsze... mruczy.

— Dużoście zarobili?

— A no niby tyle, co w zeszłym...

— Bywajcie zdrowi!

— Zostańcie z Bogiem...

Gromadka czekających zmniejszała się z każdą chwilą; ściemniać zaczęło się na dobre. W sieniach zapalono światło.

Blisko od godziny, koło drzwi, stał oparty plecami o ścianę robotnik, jak inni. Migocząca latarka oświetlała teraz jego siwą głowę, zwieszoną na piersi. Duże, krzaczaste brwi kępiły się pod pooranem czołem, twarz okalała krótka biała broda. Stary miał czapkę w rękę. Za każdym otwarciem drzwi podnosił głowę, słuchał i znów ją na piersi opuszczał. Co chwila ktoś koło niego przechodził, ten i ów rzucił mu pozdrowienie, gromadka wciąż się zmniejszała, on wciąż stał o ścianę oparty i wciąż czekał kolei. W końcu pozostał sam jeden.

— Słotwiński! — zawołano.

Stary wszedł do wnętrza. Drewniane jego trepki stukały straszliwie o podłogę. Na czole pana kasyera przebiegła chmura; stary ją spostrzegł i, jak mógł, nogi stawiał, żeby mniej robić hałasu, w końcu stanął u kraty.

Odetchnął.

— Słotwiński oddał trzy sztuki?

— Tak, panie...

— Należy mu się cztery ruble i kopiejek piętnaście?

— Tak...

— Żadnego forszusu?

— Właśnie chciałem...

— Pytam: żadnego nie brał forszusu?...

— Ani grosza!... ale chciałem pana kasyera prosić... czwartą sztukę mam na ukończeniu...

— Niema czasu, już i tak późno. Jutro... to jest pojutrze niech Słotwiński przyjdzie...

Okiénko kasowe zamknęło się z trzaskiem.

— Jutro... — powtórzył stary, zgarniając pieniądze; i znowu rozległ się stuk trepek po podłodze.

— Niech będzie pochwalony!... — rzekł od proga.

— Na wieki... — mruknięto z za kraty.

Zwolna szedł stary ku furcie przez dziedziniec fabryczny. Głucho już i pusto tu było. Na szarem tle rysował się ogromny budynek z wysokim kominem. Po bokach dwa inne budynki, długie a niskie, mieszczące w sobie składy i kuźnie, opodal biały domek i drzew kilka; na dziedzińcu wykończone maszyny i narzędzia rolnicze. W oknach kantoru i u szwajcara błyszczą tylko światło, zresztą ciemno. Nigdzie żywej duszy, głosu, ni szelestu, echo tylko przedrzeźnia jego kroki: puk — puk, puk — puk, puk — puk...

Słotwiński na chwilę przystanął i obejrzał się dokoła. Dawno znał już tę fabrykę, bardzo dawno! Pamiętał czasy, kiedy jeszcze gmach, dzisiaj piętrowy, był niskim parterowym budynkiem, kiedy ani maszyny parowej nie było, ani tego wysokiego komina. Wszystkie niemal wspomnienia łączyły się z nią w jego pamięci. Niedaleko, w jednym z niskich domków ujrzał światło dzienne. Ojciec jego był robotnikiem, pracował w tej samej fabryce. Jak przez sen, pamiętał go z twarzą zawsze czarną, która tylko w święto wracała do naturalnej barwy. Jednego dnia krzyk straszny powstał w fabryce; ludzie

biegli, mówiono, że koło kogoś zgruchotało. Matka, wiedzona przeczuciem, rzuciła robotę i pobiegła za innymi. Kiedy stanęła, furta była zamknięta, nikogo nie wpuszczano. Próżno błagała, zanosząc się od płaczu; wreszcie furta się otworzyła i... wyniesiono nieżywego jej męża. Chwila ta utkwiała mu w pamięci: miał lat ledwie cztery i dziwił się, że, jak tatusia do czarnej skrzyni włożono, to taki był biały, jak nigdy, nawet w niedzielę.

W rok niespełna umarła matka — i stróż fabryczny, nie mając własnych dzieci, wziął go na wychowanie. Niedługo był mu ciężarem; zaledwie szósty rok skończył, już stał przy furcie i otwierał a zamykał, i w innej pomagał mu robocie.

Stary pan, »dobre panisko«, jak mówiono, pamiętał o sierocie. Co roku sprawiał mu to buty, to jakieś ubranie; a kiedy chłopak podrósł już trochę i mógł się uczyć, kazał go posyłać do szkoły i sam o jego postępy się dowiadywał. W niedzielę Jakóbek chodził zwykle do »pana« bawić się z »paniczem«, młodszym o lat kilka od siebie, do którego przywiązał się bardzo. Później nauczono go ślusarstwa, i Słotwiński w czternastym roku życia stanął przy warsztacie do pomocy dawnemu przyjacielowi ojca.

Nic dziwnego, że zrósł się z fabryką, która długi czas była dla niego wszystkim, jego światem, rodziną.

Rok za rokiem mijał. Słotwiński dorósł, ożenił się, stracił żonę, dwoje dzieci mu umarło — i znów został sam jeden, gdy wezwał go syn właściciela, pytając, czy nie będzie mu towarzyszył. Przystał: w piekło byłby poszedł z »paniczem«; wyszli więc nocą w kilkunastu z »paniczem« na czele. Kilka miesięcy dzielili razem dolę i niedolę; potem panicz padł, ugodzony kulą, i wspólna go gdzieś w lesie przykryła mogiła, a

on poszedł piechotą daleko, het, na północ, w krainę śniegów i lodów.

W kraju niby nic nie zostawił: parę mogił, fabrykę i starego pana, a jednak tęsknił za nimi. Lat kilkanaście, jak wieki, długich, zwracał się ciągle myślą w ich stronę, w końcu powrócił zgarbiony, schorzały, złamany.

Próżno szukał tego, co zostawił. Groby zarosły, czy zapadły się w ziemię — odnaleźć ich nie mógł; »stare panisko« nie żył, a fabryka przeszła w obce ręce. Po dawnych właścicielach śladu nie zostało; terażniejsi przyjechali z daleka, zaprowadzili nowe porządki, nowe maszyny, postawili nowe budynki, nawet sprowadzili nowych ludzi z zagranicy — jak zwykle. Wszystko się tu zmieniło, prócz jednej furty; ona tylko pozostała taka sama, jak wprzódy. Ileż razy ją otwierał, a ile przechodził! Każdy gwóźdź był mu znajomy, i ten młotek do pukania, nawet ta dziura w desce po sęku, przez którą dzieckiem zaglądał!...

Zapłakał...

W pierwszej chwili chciał był iść w świat, ale nie mógł — coś go do tych miejsc przykuwało: fabryka streszczała wszystko, co mu zostało z przeszłości. We dwa tygodnie przyjęto go znowu do warsztatów i odtąd fabryki nie opuszczał. Obco mu tu wprawdzie z początku było; ludzie wszyscy prawie nowi, z niejednym dogadać się nie mógł, bo ten po polsku nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć; w parę lat jednak zatarły się dawne wspomnienia w pamięci starca, i Słotwiński znów się do tych murów przywiązał całym sercem, które nie miało już kogo kochać na świecie.

To też wierniejszego robotnika nie było w całej fabryce. Wtedy, gdy inni sarkali, i słusznie, on zawsze starał się tłómaczyć zarząd i właścicieli. Dziwiono się, śmiano nawet z

tej gorliwości, o której pewnie nikt nie wiedział — ani zarząd, ani właściciele. A oni? oni, jak zwykle: kiedy Słotwiński chorował, to się musiał na chorobę zapożyczyć, bo z »kasy dać nie chcieli...«

Przypominano mu to nieraz; on milczał, a potem mówił swoje.

Rok temu zamieszkał w jednym z nędznych domków przedmieścia. Izdebkę odnajęła mu wdowa, kobieta już niemłoda, matka czworga drobnych dzieci. Zagrobina utrzymywała się z prania.

— Nie jestem ja tam wymyślna praczka — mówiła — juścić ani dla hrabiów, ani dla biskupa nie pieram, ale piorę, jak się należy; bielizny nie spalę, ani rozgotuję, zawsze więc mam dość roboty: i dla mnie, i dla dzieci starczy. A że się człowiek napracuje, to trudno...

Z dzieci najstarsze miało lat dziewięć, najmłodsze cztery. Urodziło się w tym samym roku, kiedy »Zagroba — Panie świeć nad jego duszą! — wziął i umarł«.

Słotwińskiemu jakoś raźniej się zrobiło na sercu od czasu, kiedy zamieszkał małą izdebkę u Zagrobiny. Dzieci pokochały »dziadusia«, matka zawsze z dobrem słowem doń się zwracała, pamiętała o nim — i stary, który dawno był już wszystkich stracił, uczuł się znów jakby wśród swoich. Do dzieci przywiązywał się coraz bardziej i wkrótce przekonał się, że serce musi dzielić pomiędzy fabrykę a domek na przedmieściu.

Ot i teraz zatrzymał się markotny na dziedzińcu fabrycznym, bo słyszał, będąc w domu na obiedzie, jak Zagrobina utyskiwała, że nie ma za co kupić butów Jankowi, który ma zacząć chodzić do szkoły. Słotwiński chciał jej »pożyczyć«, oddałaby przecie później, albo onby odmieszkał

— i dlatego ośmielił się prosić o zaliczkę, gdyż sam niewiele zarobił; robota była prawie skończona, mogli dać. Omylił się; kazano mu przyjść jutro... nie, pojutrze nawet...

Machnął ręką i zastukał do stróża.

— O! pan Słotwiński na samym końcu!

— Jak zwykle stary...

— A cóż tam dobrego?

— Dobrego?.. Ta nic, choć i złego niema. Wszystko dobrze, póki człowiek pracować może.

— Święta prawda!

— To tylko źle, że mu coraz trudniej. Nie to to dzisiaj, co dawniej bywało — mówił z westchnieniem — ręka słabnie, w głowie czasami się tak kręci, że musisz spocząć choć chwilę; a potem przyjdzie sobota, i człowiek ledwie parę rubli odbierze. Zawszeć i to dobrze, że jest.. Dobrej nocy!

— Dobrej...

Furta skrzypnęła, Słotwiński powlókł się ku domowi. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, pędem przeleciał obok niego powóz, unosząc z sobą jakiegoś pana i panią. Słotwiński znał dobrze i ten powóz, i jadących: był to właściciel fabryki, Zygfryd von Felsenstein z swą młodą żoną. Machinalnie sięgnął do czapki i odkrył siwą głowę.


Powóz popędził dalej.

Przypisy

1. ↑ T. j. cienkich.

2. ↑ Protestacya — wyrażenie niezgody na coś.

3. [↑](#) Zaliczka.

 Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Mieczysław Bierzyński.

II.

Wejście Słotwińskiego dzieci przyjęły okrzykiem: »Dziadusi!« »dziadunio!« wołały na różne tony, szarpiąc starego, nie dając mu krokiem się ruszyć. Mały Ignas uczeplił się z tyłu, Frania wspinała się na palce, nadstawiając buziaka, Jaś, jako najstarszy, spokojnie go w rękę całował; za to Michaś ciągnął go z całych sił, chcąc mu gwałtem pokazać pałasz, który ze znalezionej gonta ustrugał. Co wieczór powtarzała się mniej więcej ta sama historia; co wieczór stary niby się gniewał, niby to burczał na dzieci, ale tak jakoś, że nawet najmłodszy Ignas w prawdziwość gniewu nie uwierzył.

— Co to znaczy, smarkacze?... Chcecie starego zamęczyć, czy co?... Wynosić mi się zaraz, bo...

— Dziadusiu!...

— Słuchać, żaby, i basta!

Ale dzieci ani myślały ustąpić.

— Dajcie mi przynajmniej czapkę położyć — mówił — niech choć ręce obetrę, bo czarne... Jeszcze was pomorusam, a pewnie matka na święta pomyła.

— A ma się rozumieć — odezwała się Zagrobina, która z uśmiechem patrzyła z boku na starego, jak się z dziećmi upędzal. — Ma się rozumieć! Zawala się to tak przez cały tydzień, choć codzień myję, żebyś się ani domył w niedzielę... Poszorowałam wszystko czworo... A to nieznośne dzieciaki! Przestaniecie wy?!...

Nie tak to łatwo było uspokoić dziatwę, która dalej szarpała starego. Ten wciąż im niby groził, wciąż jednak uśmiechał się i oczami mrugał: rad był dzieciom — przypominały mu dwoje jego własnych, których mogiłek nawet nie znalazł...

— A cóż też to za utrapieńcy!... — wołała Zagrobina, rozpędzając dzieci ścierką. — Będziecie wy słuchać!... Jasiu, wytarłbyś miskę na mleko, bo kartofle już się ugotowały.

Słotwiński na koniec mógł przejść do swojej izdebki. Ubogo, ale schludnie tu było: proste łóżko drewniane ze skromną pościelą, nad łóżkiem krzyżyk, pod oknem stolik sosnowy, niegdyś na czerwono malowany, dwa stołki, kuferek zielony, okuty — i oto wszystko.

Słotwiński obejrzał się raz jeszcze, ode drzwi pogroził palcem Ignasiowi, który za nim się skradał, czapkę na gwoździu powiesił, wytarł ręce i wrócił do pierwszej izby, gdzie na stole dymił się już garnek z kartoflami.

Zagrobina przerwała prasowanie, poprawiła czepeczka i jęła usadzać dzieci za stołem. Słotwiński usiadł na zwykłym swem miejscu, a że był bardzo głodny, jadł więc, nie mówiąc ni słowa. Przez czas jakiś w izbie słychać tylko szcęk łyżek; misa mleka i garnek kartofli znikły wokamgnieniu. Zagrobina przeżegnała się, dzieci poszły za jej przykładem i zerwały się z swych siedzeń.

Słotwiński zapalił krótką fajeczkę.

— A może bielizna zżółknie?

— Eh, niech pan Słotwiński pali — mówiła Zagrobina, prasując dalej. — Nic nie szkodzi: co ma zżółknąć...

— Bo to rozmaicie mówią... — i puszczał dalej kłęby dymu.

Zaledwie dziatwa uprzątnęła od kolacyj, co było jej obowiązkiem, już Frania usiadła staremu na jednym kolanie, Ignaś rozkwaterował się^[1] na drugim, Michaś oparł się z boku, Jaś tylko stał spokojnie. Zaczęła się rozmowa. Dzieci, jak dzieci, pytały bez końca, stary objaśniał im i odpowiadał,

ćmiąc dalej fajeczkę.

Na chwilę rozmowa się urwała i znów:

— Dziadusiu...

— Czego chcecie?

— Powiedz nam bajkę! mój dziadusiu, mój złoty dziadusiu...

— My tak słuchać lubimy...

— Kiedy już żadnej nie umiem, wszystkie wam opowiedziałem...

— To którą starą... mój biały dziadusiu! przymilała się Frania.

— Ej, turkawko! nie kuś starego...

— Tylko się nie gniewaj!

— No, dobrze, opowiem wam bajkę.

— Co też pan z dziećmi nie wyprawia! — mówiła Zagrobina, która wtrącała się od czasu do czasu w ich rozmowę — Bałamućą się smarkate i potem ani rady dać z niemi.

— Co to szkodzi, moja pani!... młode to i małe...

— A bajka? — dopominało się któreś.

— No, słuchajcie!

Dzieci ucichły, stary zaczynał: Było trzech braci: dwóch mądrych, jeden głupi.

— Wiemy! wiemy! wiemy! — zawołały chórem.

— Cicho mi zaraz! Mówiliście, że słuchać będziecie starej; nie chcecie, to wam żadnej nie powiem.

— Eh... kiedy bo...

— Niema żadnych »eh!« — i stary jął się znowu chmurzyć, puszczając wielkie kłęby dymu z fajki. Dzieci patrzyły niedowierzająco. Frania zaczęła głaskać go po twarzy i całować: »dziadusiu! drogi dziadusiu!...« Stary dalej mruczał, bawiąc się zakłopotaniem dzieci. Było mu dobrze, bardzo

dobrze... Gdyby tak jeszcze buty był kupił Jankowi... w przyszłym tygodniu sprawi mu niezawodnie.

Nagle Zagrobina postawiła żelazko i podbiegła do okna: zdawało jej się, że słyszy jakiś niezwykle ruch na ulicy.

— Jasiu, skocz-no na ulicę, zobacz, co się dzieje...

Jaś nie dał sobie dwa razy tego mówić, schwycił za czapkę i wybiegł. Słotwiński uspakajał, że pewnie dwóch pijaków rozpoczęło zwadę, kiedy wpadł Jaś przerażony i blady.

— Mamo... pali się!

— Jezus Marya!...

— Co się pali? Gdzie się pali? — pytał stary gwałtownie.

— Ja nie wiem...

Ruch na ulicy się wzmaczał, rozległy się krzyki:

— Gore!!! Pali się!!! Gore!!

Stary się zerwał, gdy wtem drzwi otworzyły się z łoskotem. Na progu stał jeden z robotników, jak trup, blady.

— Jakóbie... fabryka się pali!...

— Fabryka?! — zawołał i wypadł na ulicę. Krwawa łuna widniała na niebie.

Bez czapki, z rozwianym włosom, pędził Słotwiński w stronę zabudowań fabrycznych. Tchu mu co chwila brakowało, przystawał i znów pędził dalej. Potracano go, pchano, o mało nie przejechały go konie — on nic nie słyszał, nic nie widział prócz łuny na niebie...

Jeszcze się ludzi nadzieją... Nie! nie! już niema wątpliwości: fabryka słoł w płomieniach.

Stary zatoczył się i oparł o drzewo.


Przed nim ogień bucha i pryska. Miliardy iskier sypią się dokoła; dym czarny, gęsty gryzie i dusi... Setki ludzi walczy z rozszalałym żywiołem — napróżno! Ogień szerzy się coraz

bardziej, coraz dalej...

Słotwińskiego pod drzewem już niema...

Przypisy

1. [↑](#) T. j. rozgościł się.

 Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Mieczysław Bierzyński](#).

III.

Było już koło południa, kiedy Słotwiński otworzył oczy. Nic prawie nie pamiętał, czuł tylko straszny ból głowy. Machinalnie sięgnął: ręka trafiła na chustę. Jęknął.

W tej chwili otwarły się drzwi, i zajrzała przez nie Zagrobina.

— I cóż, panie Słotwiński, jak się czujecie?

— Głowa boli straszliwie...

— A bo też potrzebnie wam było leżać w sam ogień! Nieszczęście...

— Aaa...

Zagrobina krzątała się po izdebce.

— Niech pan pozwoli, okład zmienię — mówiła, maczając szmatę w wodzie.

Słotwiński przysiadł na łóżku.

— Czy już ugasili?

— Niezupełnie... jeszcze gaszą. Taki pożar!

— Spaliło się?...

— Wszystko...

— Wszy...stko... Mój Boże!

Znów opadł na poduszkę. Zagrobina jęła mu odwiązywać chustę, odrzuciła okład — pokazała się na głowie długa, szeroka rana. Tu i owdzie wśród siwych włosów krew skrzepła.

— Wszystko!... — powtórzył.

Zagrobina zmieniła okład, stary chciał wstać.

— A gdzie to pan Słotwiński?

— Chcę iść...

— Gdzie? po co?

— Do... fabryki.

— Co też panu Słotwińskiemu przyszło do głowy?! Ledwieśmy się docucili w nocy, i pan chce iść do fabryki? Toć doktor wyraźnie powiedział, żeby spokojnie leżeć, póki się nie zagoi. Niewielkie rzeczy, kość nienaruszona...

Stary patrzył na nią dużemi oczyma: zdawał się dopiero teraz przypominać przejścia zeszłej nocy. Przed oczyma stanął mu straszny obraz pożaru — przypomniał sobie, że ratował z innymi. Tak, był bardzo blisko... więcej nie pamiętał. Sięgnął ręką do głowy i syknął z bólu.

— Niech się też pan położy — mówiła Zagrobina.

Usłuchał.

— Wszystko... Mój Boże!...

Przez drzwi nawpół otwarte wszedł Ignasz z Franią, trzymając się za ręce. Dzieci stanęły w nogach łóżka, trwożnie spoglądając na »dziadusia«, który leżał teraz z przymkniętymi oczyma. Zagrobina mówiła prawdę: rana nie była ciężka, skóra na głowie aż do kości przecięta, ale kość nie naruszona. Rano opatrywał ją felczer, zwany »doktorem«.

— Jeżeli gorączka się nie wzmoże — mówił — no, to pewnie i nic mu nie będzie; trzeba jednak zawsze głowę okładać zimnym kompresem^[1], bo się może wywiązać zapalenie mózgu... Zresztą, może do szpitala?...

Zagrobina aż się zachnęła.

— Ani myśleć o tem! Kiedy może leżeć w domu, niech leży. Toć tu mu każde posłuży...

— No, potrzeby niema...

Słotwiński, prawie nieprzytomny, całej tej rozmowy nie słyszał. Zagrobina zaraz zakrzętnęła się i wysłała dwoje starszych dzieci do znajomych, aby w domu nie hałasowały,

zatrzymując przy sobie Ignasia i Franię, które większej potrzebowały opieki. Była niedziela — mogła się cała oddać pielęgnowaniu chorego. Teraz, zobaczywszy dzieci wchodzące, nakazała im palcem milczenie i siadła pod okienkiem, niszając paciorki różańca.

Nie zmówiła dwóch Zdrowaś, kiedy otworzyły się drzwi w pierwszej izbie, i rozległy się kroki kilku mężczyzn. Zerwała się zaraz z siedzenia, Słotwiński od ściany się odwrócił.

Do małej izdebki weszło czterech mężczyzn. Okopcone ich twarze piętnował jeden wyraz smutku i znużenia. Zapach dymu i spaleniznę przynieśli z sobą.

— Jak się macie?... — szepnął Słotwiński.

— Przyszliśmy, Jakóbie — mówił z nich któryś — zobaczyć, co się z wami dzieje. Taki wypadek...

— Nieszczęście, mój Tomaszu, nieszczęście...

— Oj, nieszczęście!... — wtrąciła Zagrobina. — Ale niech panowie siadają.

— Postoimy, proszę pani.

— Ale cóż znowu! toć wracacie pewnie prosto od ognia?

— A juści...

— Franiu! rusz-że się! przynieś stołek i postaw panu Dederce... Panie Ludwinku, niech pan siada... panie Srebrzyński...

— Siadajcie, moi drodzy — prosił stary.

Frانيا przydzwigała stołek, w końcu jakoś się wszyscy pomieścili, najmłodszy siadł na kufierku.

— Jakże wasza głowa?

— Ot boli... i boleć przestanie, ale...

— Ale was siarczyście ta cegła płatnęła...

— Ta... głupstwo: dziś — jutro się zgoi.

— Dałby Pan Bóg! a byliśmy już o was w strachu, jak poszłicie pod sam ogień z tym węzem od sikawki... Jezus Marya!... zaczynają wołać: »Lać go wodą! lać go wodą!«, bo się zdało, że wszystko się na was zapali...

— Toć tak blisko ognia nie byłem!

— Bogać tam!... Nad wami buzowało, aż strach... Skóra na mnie ścierpła, jakem patrzył, i dygotałem cały. A tu ktoś krzyknie: »Słotwińskiego zabiło!« Jezus Marya! sądny dzień, czy co?! Dyrektor klnie: »*Verftuchte Teufel!* ... «^[2], ludzie drą się, potracili głowy... myśleliśmy: już po was... a tu jak się nie ciśnie Ignac z Ludwikiem w ogień, jak dyabły jakie... minuty nie wyszło, już nieśli was na rękach...

— Dobrzy ludziska... niech Bóg im nagrodzi!...

Stary spojrział dokoła, jakby ich szukając.

— Gdzież oni? — zapytał.

— Mówiłem, żeby zaszli do was, śpieszno im było.

Zagrobina nie pierwszy raz słyszała to opowiadanie, mimo to nie mogła łez powstrzymać, które gwałtem jej się do oczu tłoczyły.

— Jezu, mój Jezuniu!... — i wycierała nos i znowu wzdychała.

Milczenie zaległo w izdebce. Słotwiński leżał nieruchomo, patrząc na towarzyszy, którzy siedzieli teraz z pospuszczanymi głowami pod brzemieniem troski. Słotwiński zgadywał ją, nie potrzebował pytać — i jemu leżała ona na sercu.

— Cóż oni? — zapytał.

— Niby dyrektor i pan Felsenstein? — spytał Dederka.

— A tak.

— Nic. Wczoraj całą noc byli przy ogniu; nad ranem pan

poszedł, dyrektor to może dwie godzin temu.

— Nic nie mówili?

— Do nas nic. Szwargotali sami coś po niemiecku i tyła. Strasznie mieli markotne miny. Pan to palił cygaro za cygarem.

— Taka strata!...

— Oj, strata! strata!... Oni stracili, ale co z nami będzie? Fabryka nieprędko stanie, tu zima za pasem, roboty nie będzie, z głodu przyjdzie umierać...

— Toć przecie, jak psom, mrzeć nam nie dadzą...

— Kto ich tam wie! Dobrego nie od nich czekać... Pamiętacie, co było ze Zgagą? Człowiekowi prawą rękę urwało, chłop do niczego się zrobił: dali mu dziesięć rubli, i ruszaj, gdzie oczy poniosą. Żona, dzieci... na dziadów wyszli.

Zagrobina westchnęła, w izdebce znów się zrobiło cicho; każdy zdawał się pytać z przerażeniem w duchu, czy go nie spotka los Zgagi.

— Myśmy właśnie przyszli — począł Ludwinek — do was wedle rady.

— Cóż ja wam poradzę?!

— Zawszeć jesteście najstarszy między nami, to może co i poradzicie... Możeby iść do pana Felsensteina i prosić, żeby nam dał jakie zajęcie. Spaliły się główne warsztaty, ale kuźnie zostały.

— Ha! może i da się co zrobić.

— Spróbować nie zawadzi.

— Juścić, toć my tylko pracować chcemy.

— Nie poszlibyście z nami, Jakóbie?

— Dobrze; kiedy trzeba, to się człek zwlecze....

— Ani myśleć, panie Słotwiński! — zawołała Zagrobina — nic z tego nie będzie... Dzisiaj niech pan leży spokojnie, zaraz

okład zmienię. Póki głowa nie zagojona, z łóżka ani krokiem...
Jutro...

— To jutro, moi drodzy... dziś bardzom słaby...

Ani przypuszczał Słotwiński, że nazajutrz nie będzie się mógł ruszyć. Gorączka się wzmogła, głowa bolała straszliwie, zimne okłady co chwila trzeba było zmieniać. Zagrobina cały dzień przy nim siedziała. Około południa przyszli towarzysze — nie puściła ich nawet do chorego, bo doktor, którego rano zawezwała, zabronił mu rozmowy, zapisując jakieś lekarstwo. Zagrobina uprosiła Dederkę, aby wstąpił na chwilę, wracając, i powiedział, co odpowiedziano im w »kantorze«.

We dwie godziny wszedł pocichu Dederka i skinął na nią ode drzwi. Zagrobina wyszła na palcach do pierwszej izby, żeby nie budzić starego. Już z twarzy zmiarkowała, że niedobre będą nowiny.

— I cóż? — spytała półgłosem.

— Nic — odparł i umilkł.

— Widzieliście się z nimi?

— A jakże: pan dyrektor do nas wyszedł.

— No i cóż? Mówcież prędzej!

— Cóż będę mówił?.. Powiedział, że fabryka się spaliła, więc jej niema, to i roboty być nie może, bo pan poniósł daleko większe straty, pół miliona rubli, kiedy żaden z nas nic nie stracił, bo każdy może iść do innej fabryki i tam pracować...

— Ciekawam gdzie, jak jedna fabryka w mieście!

— Tak mówił...

— A w kuźniach? Mówił, że są kowale; zresztą gadali, że w kuźniach zostaną się tylko ci, co to ich z zagranicy przywieźli...

— Pan widział się z wami?

— Nie, lokaje puścić nie chcieli. Pan kasyer tylko mówił to

samo...

— A on jaki?

— Jak zawsze: polazł do kasy, bo się kantor nie spalił.

Zagrobina milczała. Nagle zagadnęła:

— Więc mówicie, że lokaje nie chcieli wpuścić?

— Juścić, gadali, że pan chory.

— Łżą!...

— Pewnie...

Chwilę porozmawiali jeszcze, w końcu Zagrobina pożegnała Dederkę.

Kiedy obudził się Słotwiński, Zagrobina, ubrana w biały, wykrochmalony czepek i odświętną chustkę, wybierała się gdzieś na miasto. Przy łóżku Jaś siedział.

— Gdzie to... pani... idzie? — pytał Słotwiński powoli.

— Mam interes, niech pan będzie spokojny. Jasiu, pamiętaj, dziecko, dać lekarstwo za pół godziny; ja niedługo wrócę.

Dobrze się już ściemniało, kiedy Zagrobina wróciła do domu; była zamyślona i chmurna. Słotwiński spał znowu.

Następnego dnia gorączka wzmogła się — Słotwiński cały dzień przespał, budził się tylko na krótko, zażywał lekarstwo i znów zasypiał. Mimo całego niepokoju, Zagrobina znowu wyszła gdzieś na miasto, zostawiając starego na opiece Jasia, i znowu powróciła zamyślona i chmurna. Pod wieczór lękano się, że zapalenie mózgu wywiąże się niewątpliwie; szczęściem nazajutrz gorączka zelżała, rana zasklepiła się, a następnego dnia Słotwiński przysiadł po południu na łóżku i bawił się z dziećmi, które obległy dokoła swojego »dziadusia« po dawnemu.

Zagrobiny nie było — od czterech dni stale wychodziła o jednej godzinie. Przez pierwsze trzy dni brała za każdym razem

świeży czepek i nową chustkę; dziś wybiegła, jak stała, chustkę tylko zarzuciwszy na ramiona.

Dzieci szczebiotały ze starym, gdy nagle otwarły się drzwi i do izdebki weszła zadyszana Zagrobina. Słotwiński spojrział na nią z przestraszeniem.

— Co się stało? — zawołał. — Mówcie! Znowu nieszczęście?

— Wyjechali!

— Kto... kto wyjechał?

— A któżby: p. Felsenstein!

— Toć wróci.

— Skąd!... wyjechał zagranicę, pani pojechała... Cztery dni chodziłam, prosiłam się lokajów, żeby puścili... Co dnia mi »jutro« kazali przychodzić, a dziś pan wyjechał...

— Cóżecie wy od nich chcieli?... — zapytał stary, i krzaczaste brwi zbiegły mu się pod czołem. Zagrobina spojrzała na starego; nie wiedziała, co odpowiedzieć: w tajemnicy przed starym chciała dlań coś zrobić, a teraz...

Ale brwi już się rozsunęły i przygasłe oczy łagodnie na nią patrzyły: stary ją odgadł i nie pytał.

Przypisy

1. ↑ Okładem.
2. ↑ Przeklęty dyabeł (niem.).

IV.

W miarę, jak siły wracały staremu, coraz czarniejsze myśli snuły mu się po głowie. Nim wstał z choroby, wiedział o wszystkim: i o tem, że robotnikom nie dano żadnego zajęcia, ni zapomogi, i o tem, że fabrykę nie zaraz miano odbudować. Sąd przeprowadził już śledztwo, skąd pożar wynikł — i wykrył, że »z niewiadomej przyczyny«. Wszystko było w porządku. Stróż, jak dawniej, furkę otwierał i zamykał, kasyer, jak dawniej, siedział w białym domku za stołem, pan z panią, jak zwykle, zagranicę wyjechali, nic się więc dla nich nie zmieniło, tylko w tem miejscu, gdzie dawniej wznosił się gmach fabryczyny, teraz sterczały bezkształtne gruzy, a no i stu kilkudziesięciu robotników zostało bez chleba.

Śpieszno było staremu do jego fabryki. Pierwszego zaraz dnia, kiedy zwłókł się z łóżka, wybrał się o kiju, z głową zawiązaną, w znajomą mu drogę. Szedł powoli, zatrzymywał się, jednak szedł. Głowę opuścił na piersi, patrzył w ziemię, jakby lękając się widoku, który miał ujrzeć za chwilę. Próżno Jaś, który mu towarzyszył, do niego przemawiał: stary zbywał go niczem lub milczał.

O kilkadziesiąt kroków od muru, otaczającego zakłady, stanęli. Słotwiński podniósł głowę i spojrział: na szarem tle rysował się wysoki komin fabryczny, zczerniały od dymu i płomieni. Widok ten dodał mu otuchy: nie widział wprawdzie ani dachu, ani wieżyczki ze dzwonkiem, ani zegara, zawsze jednak coś było. Chwilę postął, jakby zbierając siły i poszedł ku furcie. Furta otwarła się przed nim, jak otwierała się przez całe lata; stróż go przywitał, ale stary na nic nie zważał — szedł prosto przed siebie ku gruzom. Łzy mu płynęły po

twarży, nogi trzęsły się — on szedł dalej, już stanął na rumowisku, odkrył głowę i płaczem ryknął.

Jaś schwycił go za rękę.

— Dziadusiu, nie płacz... nie płacz, dziadusiu! — wołał i sam płakał, a stary chwycił go za głowę i do piersi tulił...

Fabryki... nie było!

Wtem głosy kilku osób zwróciły jego uwagę. Wstyd mu było łez przed obcymi — obtarł je szybko i stanął na boku; jacyś panowie, między nimi dyrektor i kasyer, zbliżali się do pogorzeliska.

Obojętni przechodzili koło starca, który stał z odkrytą głową, trzymając za rękę chłopaka z zaczerwienioną twarzą. Było ich pięciu; mieli z sobą papiery, plany, rejestra; oglądali, pisali, liczyli. Jednego z nich tytułowano »inspektorem«; Słotwińskiemu objęły się o uszy: »ubezpieczenie«, »składki«, znów »ubezpieczenie«, »dwakroć« i t. d.

Nikt słowa do niego nie przemówił — przyszli i poszli dalej. Jaś pociągnął za rękę »dziadusia«.

— Co to za panowie?

— To przyjechali ocenić straty, przez pożar zrobione.

— A po co?

— Żeby zapłacić za wszystko, co się spaliło.

— Czy i tobie, dziadusiu, za tę ranę zapłacą?

.....

Wróciwszy do domu, Słotwiński zastał Zagrobinę przy pracy. Dzieci, jak zawsze, przyjęły go okrzykiem radości, on przywitał się z nimi i poszedł do swej izdebki wypocząć chwilę.

Położył się na łóżku i dumał. Niewesołe były jego myśli. Poza nim życie pełne trosk i bólów, przed nim — kto wie, co go czeka? Z chwilą spłónięcia fabryki stracił wszystko, co przez długie lata kochał, co mu zastępowało rodzinę, do czego, jak pies, był się przywiązał. Nie rozumiał siebie bez fabryki, ani fabryki bez siebie — zrósł się z nią niemal w jedną całość. Teraz fabryki... nie było!

To cios jeden. Z nim równocześnie spadł nań cios drugi: pożar wydarł mu możliwość pracy. Słotwiński nie umiał inaczej na chleb zarabiać i był za stary, aby się imać nowej pracy: ciężko na schyłku życia zaczynać na nowo! Dziś i jutro miał jeszcze co do ust włożyć — w skrzynce chował kilka rubli na czarną godzinę, która teraz wybiła; było jednak tego niewiele — mogło wystarczyć zaledwie na czas krótki, a potem...

— Potem?... — pytał sam siebie, przysiadł na łóżku, targał siwego wąsa i znów rzucał się na pościel.

Z sąsiedniej izby dolatywał go głos Zagrobiny i szczebiot dzieci. Zdawał się wsłuchiwać w głosy, dochodzące go z izby, myśleć nad czemś głęboko. Krzaczaste brwi zbiegły mu się pod czołem, które sfałdowało się teraz pod ciężarem myśli.

— Nie, nigdy! — szepnął nagle do siebie, wstał i jął przewracać w kufierku.

Na samym dnie kufierka leżał węzełek, z którego wyjął czerwoną chustkę. W jednym z jej rogów miał zawiązany dorobek całego życia: kilka srebrnych rubli i trochę papierków. Liczył i przeliczał je bez końca, wreszcie zawiązał znów chustkę i zamknął kuferek.

Powoli poszedł do pierwszej izby, gdzie Zagrobina stała za wielką balią. Zaledwie siadł na stołku, już mu się Frania umieściła na kolanach i głaskała starego po twarzy. Zagrobina

mówiła, a on słuchał, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

Gwarzyli o tem i owem — niedługo jednak wpadli na przedmiot, najbardziej ich obchodzący.

— Bieda — mówiła Zagrobina — bieda!... tylu ludzi bez pracy, a tu jesień i zima za pasem. Strach pomyśleć... Dederkowie krowę sprzedali; Ludwinkom dziecko zachorowało, wyzbyli się wszystkiego... on pono stróżem został... mój Boże, taki porządny rzemieślnik!...

Stary milczał, tylko coraz większe kłęby dymu puszczał.

— Bieda... — rzekł w końcu przez zęby. — I mnie trza myśleć o robocie.

— Zaraz o robocie! Niech pan Słotwiński wprzód wydobreje; na wiosnę może fabrykę postawią.

— Nie postawią, nie postawią, moja pani... Do wiosny daleko; trzeba wziąć się do pracy, żeby nie umrzeć z głodu... w świat może...

— Cóż znowu?! Czy to panu Słotwińskiemu tak źle u nas?.. Może kasza była za jałowa?..

I patrzyła na niego jakoś dziwnie.

— Moja pani... czyż nie macie swoich czworga?... — odparł jej stary i otarł twarz rękawem.

Nie powrócono nigdy do tego przedmiotu. Stary co dnia chodził na pogorzelnisko, gdzie spotykał dawnych swych towarzyszy, uprzątających gruzy. Po dwa złote dziennie płacono — trudno! i to było dobre, kiedy głód zaczął do domu zazierać. Narazie było to jedyne ich utrzymanie.

Sam nie brał się jeszcze do roboty: sił mu brakło: próbował, ale kilof z rąk mu wypadał. Siadał więc najczęściej na boku i patrzył, lub gawędził z którym. Odzyskał w końcu dawne siły,

w głowie mu tylko czasami tak okrutnie szumiało, że rady dać sobie nie mógł. Czasami znowu zdawało mu się, że świat się cały kręci — i wówczas chwycił się rękoma przedmiotów, żeby nie upaść. Felczer objaśniał, że to skutki rany. Z każdym dniem coraz mniej mówił, coraz dłużej przebywał za domem, wreszcie, jak wyszedł raz rano, pożegnawszy się z dziećmi, tak więcej nie wrócił.

Daremnie Zagrobina wypytywała ludzi, czy nie widzieli starego. Dawali jej najsprzeczniesze wskazówki; jeden tylko stróż fabryczny napewno jej mówił, że tego dnia przyszedł Słotwiński, jak zwykle, na pogorzelnisko, obszedł je kilka razy dokoła, stawał, patrzył, potem wziął kamień z dawnych ścian gmachu, schował do kieszeni i poszedł prosto przed siebie.

— Hardy był... nie chciał mojego chleba — myślała Zagrobina i miała żal do niego.

Nikt go więcej nie widział.



O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Niepłakany](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Salicyna
- Nutaj
- Anwar2
- Kejt
- Anagram16
- Tommy Jantarek

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)